

Kronika tygodniowa.

I już zdawało mi się, że zaśpiewam z natchnionym poetą:

„Wsi spokojna, wsi wesola,
Ciebie wielbię pod niebiosami.
Rano spędzam muchy z czoła,
Wieczór spędzam muchy z nosa...”

Niestety, stało się inaczej. Czcigodna moja polowica wyjechała na południe (mieszka, powiem w sekrecie, niedaleko Podgórze, ale w takiej miejscowości, dokąd kolej nie dochodzi, by tak łatwo nie mogła się dostać do Krakowa, bo i mnie przecież należą się wakacje!...), skąd mi właśnie donosi, że tego roku much jest mało, nie mógłbym więc zastosować się do życzenia poety, ja zostałem w Krakowie, aby powiększyć szeregi słomianych wdowców, którym też część niniejszej kroniki, jako towarzyszom niedoli, zupełnie bezinteresownie poświęcić postanowiłem.

Wprawdzie zgłosiła się u mnie deputacja osamotnionych małżonków z prośbą, bym bodaj w tym roku dał im spokój, nie mogę przecież z zasadniczych powodów zadość uczynić ich życzeniu, jakże wyglądałaby bowiem wakacyjna kronika, gdyby nie było w niej wzmianki o słomianych wdowcach.

Jeden z delegatów używał wprawdzie bardzo przekonujących argumentów, twierdząc, że w roku ubiegłym żona jego, przeczytawszy kronikę, zawezwała go do spowiedzi, mówiąc:

— Józiu!... Czy to przypadkiem nie o tobie? Wszystko zgadza się jak najdokładniej...

Bronił się, jak mógł, przysięgał, że przez cały czas pobytu w Krakowie nie zламаł ani razu zaprzysiężonej wiary małżeńskiej.

— A czy nie zdejmowałeś nigdy obrączki słubnej? — badała dalej.

— Kilka razy — przyznał — ale to z powodu gorąca! Człowiek chciał być jak najlżej ubrany!

Niby uwierzyła, obiecała jednak po powrocie do Krakowa wdrożyć w tym kierunku energiczne śledztwo.

Te i tym podobne argumenty nie zdołały mnie przecież przekonać, onemu jegomościowi wyperswadowałem, że słomianych wdowców było w tym czasie w Krakowie więcej, dobrze więc zrobił, że się nie przyznał.

Cóż ja zresztą złego o wdowcach napisałem?... Nic, coby im wstyd jakiś zrobić mogło. Że się bawili wesoło, to przemawia tylko na ich korzyść, widocznie bardzo martwili się po odjeździe swych połowic, dlatego musieli szukać godziwej rozrywki, bo niegodziwych, stwierdzam to z ręką na sercu, choćbyś szukał, w tak cnotliwym miejscu, jak Kraków, nie znajdziesz. Zresztą powiada przysłowie, że cnotliwego i karczma nie zepsuje!

Te słowa niechaj będą częścią świadectwa moralności dla mnie samego i reszty tegorocznych słomianych wdowców.

Jeśliby kto zapytał, dlaczego ja nie pojechałem, skoro wysłałem na świeże powietrze żonę wraz z całym żywym i martwym inwentarzem domowym, odpowiem, że stanął na przeszkodzie przede wszystkim brak gotówki.

Powiedział jakiś tam Montecuccoli, że do prowadzenia wojny potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, ja powtarzam to samo w odniesieniu do urzędowania wakacyjnej wycieczki. Im mniej osób na nią się wybiera, tem mniej wydadzą monety, zostałem więc w Krakowie ze względów oszczędnościowych (domowy szparysystem).

Że zaś sytuacja finansowa jest pod psem, to stwierdzają kupcy, opierając się na zupełnym prawie braku złota w obiegu, ja idę jeszcze dalej, onegdaj skonstatowałem bowiem w swej portmonetce brak papierów, srebra, niklu a nawet miedzi!

Obiecują wprawdzie, że się to poprawi, gdyż zbliżają się wybory, co się mnie tyczy, na to zupełnie nie rachuję, po pierwsze na hyenę powołania mi brak, po drugie zaś podczas wyborów można wprawdzie coś zarobić, można jednak i oberwać. Daleko jeszcze do wyborów, a kije były już w robocie, co dopiero później. Jakoś weszło u nas w modę wyrównywanie nieporozumień politycznych w ten tak prymitywny sposób.

W drugim rzędzie zmusiły mnie do pozostania w Krakowie obowiązki zawodowe, sytuacja jest ciągle bardzo poważna, co chwila spodziewamy się rozwiązania, kronikarz musi więc, jak żołnierz, czuwać na posterunku.

W szkołach naszych skończyła się nauka, wynik klasyfikacji był w ubiegłym roku szkolnym nieco surowszy, niż po inne lata, a to dzięki owemu memoryalowi naszego Uniwersytetu, o którym w swoim

czasie już wspominałem. Zaznaczyć jednak wypada, że w bieżącym roku nie słyszeliśmy ani o jednym „samobójstwie z powodu złego wyniku klasyfikacji”. udało mi się nawet zbadać, jaki tego powód.

Otóż, panowie ojcowie, którzy są tego zdania, że żadna zasługa nie powinna pozostać bez nagrody, chwycili się obecnie bardzo dobrego sposobu. Nie czekając, aż synalek zle świadectwo przyniesie do domu, a dowiedziawszy się poufnie, że promocyjnie otrzymał, ten i ów ojciec *anticipando* w rodzaju zaliczki przetrzepał swemu otrokowi siedzenie. Była to dla każdego niespodzianka, niezbyt może przyjemna, w każdym razie mająca ten dobry skutek, że potem, mając w rękę świadectwo niezbyt chlubne, nie myślał niejeden, w jaki sposób położyć kres swemu żywotowi, by w domu nie spotkać się z kiejem lub cybuchem rodziciela. Szedł więc z rzadką wprawdzie miną, ale spokojny, pod dach ojcowski, bo wiedział, że zamachu na jego skórę rozsierzdzonego życiodawca już nie uczyni.

I obu stronom wyszło to na dobre!

Do wyborów sejmowych, aczkolwiek przypadają dopiero na jesień, a mają być pono bardzo gorące, przygotowujemy się też powoli, kronikarz musi więc i w tę stronę zwracać swe oczy, zwłaszcza, że zaczyna się sezon grzybów, a i kandydatury mnożą się z dnia na dzień, jak grzyby po deszczu.

Dopiero po wyborach pan namiestnik ma podobno objąć tekę finansów, pan Leo zaś otrzymałby w danym wypadku ministerstwo galicyjskie, choć nie jest wykluczonem, że jednego i drugiego, zamiast obiecanego pieroga, czeka figa.

Pierogi stały się obecnie najpopularniejszą potrawą polityczną, każdy z naszych mężów stanu aż obliżuje się, gdy tylko spotka się z nimi w jakimkolwiek jadłospisie.

A popyt na pierogi, ale nie te ze śmietaną, ale bez niej, może być wcale wielki, nie jest bowiem wykluczonem, że hrabia Stürgkh, nie mogąc doprowadzić do zgody między Niemcami i Czechami, a bez tego o uruchomieniu parlamentu mowy nie ma, ogłosi upadłość i licytację na fotele, na które amatorów nie braknie.

Austriackim ministrem zaś, choćby nawet bez teki, warto być już choćby z tego tylko powodu, iż potem, aż do śmierci, pobiera się wcale przyzwoitą emeryturę. W gorszym położeniu są natomiast ministrowie w innych krajach. Francuscy otrzymują wprawdzie przez czas urzędowania po pięć tysięcy franków miesięcznie, na starość przecież nie mogą się spodziewać żadnego zaopatrzenia, nic też dziwnego, że rękami i nogami trzymają się foteli, by z nich nie spaść.

Nasi, przeciwnie, skoro spadło już na nich to nieszczęście, iż mogli przywdziać frak suto galonowany, starają się jak najprędzej pozbyć kłopotu i przejść w dobrze zasłużony stan spoczynku, by w spokoju spożywać *panem bene merentium*.

Wybierając więc z dwojga złego, wolałbym stanowczo być ministrem austriackim, bodajby nawet emerytowanym, zamianowanym z uwolnieniem od taksy, ale w każdym razie nie od pensyi.

Czekajmy więc na owe wyścigi do foteli ministeryalnych. Będą one bardzo zajmujące, choć totalizator nie będzie funkcjonować.

A *propos* totalizatora, muszę wspomnieć, że nie sprawdziły się moje przepowiednie, płacono bowiem tego roku na krakowskim torze stosunkowo dość dobrze, lepiej nawet, niż po inne lata. Wielu było takich, którym się poszczęściło, nie brakło przecież „znawców”, którzy się splukali. Ci klną kapryśną Fortunę i przez rok cały będą za tem gardłować, aby dać spokój sobie z wyścigami, bo to nie dla nas. Za rok przecież będą jednymi z pierwszych, którzy podążą po raz ostatni na Błonia, aby podać rękę szczęściu.

Jak poprzednio zaznaczyłem, w wyścigach nie brałem udziału ani czynnego, ani biernego i wcale tego nie żałuję, nie byłem także i na tradycyjnych „Wiankach”, które się podobno nie udały. Powiadają ci, którzy tam podążyli, że „nie było nijakiego porządku”, inni sprzeciwiają się temu, twierdząc, że był porządek, ale taki sobie, ot... magistracki. Każdy Krakowianin zrozumie zaś, co to znaczy.

Natomiast, o ile innych sportów nie popieram, codziennie spieszę na Błonia, ilekroć piękna Małgorzatka puszcza się do góry balonem i śledzę zaciekawione miny słomianych wdowców, którzy tutaj się gromadzą i bacznie każdy jej ruch obserwują. Nie czynię im z tego powodu zarzutu, choć ja byłem tam tylko z obowiązku kronikarskiego, by się przekonać, czy wzlot się uda. Choćbym zresztą przeszedł nad tem do porządku dziennego, dowiedzą się o jej występach żony nasze z pism codziennych i mogłyby być o swych mężów niespokojne, a teraz odetchną, gdy dowiedzą się z tak prawdopodobnych

ust, jak moje, że niema, nie było i nie będzie powodu do obawy. Zresztą Małgorzatka, aczkolwiek wcale wcale... nie jest przecież Putyfara, a słomiani wdowcy nie są niewinnymi Józefami i mogą zaręczyć, że każdy z nich ma w porządku poły swego płaszcza.

Pozatem spokój zupełny w Krakowie. Nawet Rada miejska, która odbyła już pierwsze posiedzenie w nowym składzie, rozjeżdża się na wakacje, by nabrać tam nowych sił do pracy dla dobra kochanego miasta. Choć właściwie ojcowie Krakusowego grodu zbyt nad miejskimi sprawami głów łamać sobie nie potrzebują, o wszystkim myśli prezydium, o wszystkim ono decyduje, im zaś zostawia się zaszczyt kiwania głowami i zgadzania się bez zastrzeżeń na to, co już z góry postanowione. Wolno także kiwać palcem w bucie, ale tak, by nikt o tem nie wiedział i tej taktyki trzymają się opozycyoniści, chcący za takich uchodzić poza mury pałacu Wielopolskich. Z całą słuszością można ich więc nazwać „cichą opozycją”.

„Gazeta poniedziałkowa”, która jest organem urzędowym magistratu, zapewnia, że w łonie rady wre walka, na razie cicha, rozchodzi się bowiem o to, aby pierwsza wiceprezydentura dostała się demokratom z zakonu Reformatorów, delegatura do prezydium bowiem im już nie wystarcza. Jeśli tak jest rzeczywiście, można się spodziewać na razie podjazdowej wojny na szpaltach pism i po klubach radzieckich.

Tymczasem zresztą może przyjść do porozumienia, wobec czego sprawy nie należy zbyt gwałtownie traktować ani jej przesądzać, dość będzie późniejszej sposobności, by do niej jeszcze raz powrócić.

Co do ogólnostanowisk polityki, która w okresie kanikularnym zwykła być bardzo spokojną, można powiedzieć z poetą: „Któż zbadał puszcze litewskich przepastne krainy”... Sytuacja, zwłaszcza na Bałkanie, jest ciągle niejasna, Albania sprawia ciągle kłopot dyplomatom europejskim, głównie zaś samemu księciu Wiedowi, który powiada do siebie: „Poco ja wlałem w to błoto?” Niezdecydowany, kogo się trzymać, spogląda raz na Austrię, to znów na Włochy, cesarz Wilhelm zaś, niekontent z swego byłego rotmistrza, pyta z miną Majcherka z „Królowej przedmieścia”: „Kajś ta wloz?”

Najbardziej zmartwiona jest ciocia w Bukareszcie, Carmen Sylwa, która, nie zważając na gorąco, pisze *ex re* perypetyi swego siostrzeńca wspaniały dramat wierszem pod tytułem: „Nie miała baba kłopotu, kupiła se... tron albański”.

Polityków, szczególnie tych, którzy przy bombce pilzniera wyciągają ze swych mózgowic daleko idące konsekwencje, zajmuje raz Prenk Bib Doda, dowódca Mirydytów, to znów Essad basza, mający dla Albanii stać się mężami opatrnościowymi. Książę Wied nie może się jednak zdecydować, którego z nich wybrać. Spakował na wszelki wypadek kufry i targuje się z wiernymi poddanymi o wysokość emerytury i zwrot kosztów podróży z Niemiec do Durazzo i z powrotem.

Zdaje się, że dużo wody upłynie we Wiśle i Rudawie, zanim ułożą się stosunki bałkańskie, byłby zaś już czas najwyższy, gdyż dyplomaci radziby także zacząć wakacje i wyjechać na świeże powietrze lub do kąpiel. Jak dotąd, mało ich nawet w Maryenbadzie, nie mówiąc już o Swoszowicach, gdzie, jak sam skonstatowałem, niema dotąd ani jednego.



G. k. Dyrekcja kolei państwowych w Krakowie
donosi: **Nowe pociągi turystyczne.** W czasie od 1 lipca do 30 września b. r. będą kursowały w każdą niedzielę pomiędzy Żywcem i Zwardoniem nowe pociągi turystyczne. Odjazd z Żywca o godz. 8 53 rano w połączeniu do pociągu Nr. 1317 B c. k. kolei północnej; przyjazd do Zwardonia o godz. 10 14 przed południem.

Powrotny pociąg odjedzie ze Zwardonia o godz. 6 10 wieczór i przyjedzie do Żywca 7 11 wieczór do połączenia z pociągiem Nr. 1332 B. c. k. kolei północnej do Dziedziec. Między Dziedziecami i Zwardoniem przechodzić będą wozy wprost, zatem bez przesiadania podróżnych.

RIZ ABADIE

Tutki z watą FERROL

— poleca —

Société Abadie w Paryżu.